

## Rozdział VI

Otworzono dębowe drzwi prowadzące do pubu. W pobliżu wejścia, przy pulpicie miał swoje miejsce pan Franciszek, pełniący rolę kierownika sali, rozprowadzającego klientów po wolnych stołach; dbał o to, by kelnerki we właściwym czasie podeszły do klienta, a także aby nieproszone osoby nie zakłócały spokoju klientów siedzących przy barze i stołach. Pan Franciszek jest młodym człowiekiem; po skończonych studiach administracyjnych rozpoczął pracę w policji. Pracował kilka lat na stanowisku policjanta, a następnie dzielnicowego. Do jego przełożonego wpłynęła skarga, że Franciszek źle potraktował zatrzymanego, bo bez żadnego powodu zbil go pałką, a następnie zakuł w kajdanki i osadził w areszcie komendy. Przełożony Franciszka uznając, że stało się to z winy policjanta, wystąpił o ukaranie podwładnego. Franciszek nie godził się z takim stanowiskiem, dlatego odwołał się od kary, uzasadniając, że po to policjant ma przy sobie pałkę i kajdanki, aby przy zatrzymywaniu wymusić posłuch na osobie, którą decyduje się zatrzymać. A zatrzymywał osobę, która na jego oczach urwała lusterko od stojącego samochodu i na widok idącego policjanta odrzuciła je za siebie. W czasie postępowania zatrzymany tłumaczył, że lusterko było już urwane, a on tylko je podnosił z ziemi i oglądał. Do przełożonych Franciszka nie docierały wyniki badań daktyloskopijnych, ukazujące, że ślady na lusterku wskazują rozłożenie palców tak, jak przy urywaniu lusterka, i należą do osoby zatrzymanej. Za wszelką cenę chcieli Franciszka ukarać. I ukarali, karą dyscyplinarną, wstrzymując na długi czas premie i awans na wyższy stopień.

Koledzy też byli zadowoleni z ukarania Franciszka, bo on je-

dyny ćwiczył walki wręcz i potrafił jedną ręką obezwładnić przeciwnika. Był w tym naprawdę dobry. Kiedy Wiesław dowiedział się o przyczynach odejścia Franciszka z policji, zaproponował mu zatrudnienie w pubie swojej żony. Jerry, poznawszy Franciszka, widząc go w akcji, jak radził sobie z niepożądanymi gośćmi, też był zadowolony z takiego pracownika. Mieli pewność, że żadni awanturnicy nie będą zakłócać spokoju klientom pubu.

W kilka godzin po otwarciu pubu Franciszek podszedł do Wiesława, informując go, że zgłosiło się dwóch łysych i mówią, że przysłała ich jakaś Marchewka.

– Mówiłem im, że warzywa zamawiamy hurtem – zaczął z poważną miną Franciszek – ale odpowiedzieli mi, że są od pana Marchewki i mogą rozmawiać tylko z właścicielem pubu, bo są wysłannikami.

– Żona wyjechała, a Jerry jeszcze nie wrócił. – Wiesław zasepił się. – Daj ich do mnie do pokoju.

– Dobrze, szefie – odparł Franciszek i odwrócił się do klientów przysłanych przez Marchewkę – zapraszam do pokoju.

Obaj mężczyźni słusznego wzrostu z przerośniętymi karkami spojrzeli krytycznie na dużo niższego Wiesława i puszczeni przez niego przodem. weszli do wskazanego pomieszczenia.

– Proszę, siadajcie, panowie – rozpoczął, widząc w oczach klientów nieme pytanie.

– Pan jest właścicielem? – zapytał jeden z nich. – Jestem Mysiek, a to kolega Zyga.

– Moja żona jest właścicielem, ja tylko pomagam – odpowiedział.

– Za długo będzie? – zapytał ten sam.

– Za jakiś czas, ale o co chodzi?

– Możemy powiedzieć tylko właścicielowi – odezwał się ten drugi.

– No to przyjmijcie panowie, że jestem współwłaścicielem tego pubu – zaproponował Wiesław.

– Kolega powiedział, że możemy rozmawiać tylko z właścicielem – głośniejszym odezwał się ten pierwszy – nie słyszy pan?

– Panowie, żona moja jest kobietą, bardzo delikatną i nie wiem,

czy będzie chciała z panami rozmawiać – stwierdził Wiesław, obserwując bacznie obu mięśniaków.

– Jak nie będzie chciała rozmawiać, to my z nią porozmawiamy – mruknął głośniejszy Zyga.

Wiesława ubodło takie potraktowanie Justy i już miał sięgnąć po broń przymocowaną pod blatem biurka, gdy otworzyły się drzwi i do pokoju wpadł Jerry. Stał w drzwiach, pokręcił głową przyglądając się przybyłym i zapytał:

– Wiesiu, cy mas, jaki kłopot?

– Dobrze, że jesteś, bo panowie koniecznie chcą rozmawiać tylko z właścicielem lokalu, nie przyjmując do wiadomości, że jestem mężem właścicielki.

– O, widzis, to dobrze powiedziane, że jesteś tylko menzmem właścicielki – Jerry wpadł w swój ton rozmowy. – A ze mną bendziecie panowie rozmawiać? – zapytał mięśniaków.

– A kto pan jest? – pytał ten pierwszy.

– Pierwszy właściciel – przedstawił się Jerry. – W cym moge panom pomóc?

– A gdzie jest drugi właściciel? – zapytał ten drugi.

– Robi swoje sprawy – szybko odpowiedział Jerry – mófcie, o co wam chodzi.

– Robi się niebezpiecznie – zaczął ten pierwszy – jestem Mysiek a to Zyga, musimy panów chronić, dlatego proponujemy swoją ochronę. . .

– Panowie chcą nas chronić? Przecież to pub prowadzony przez żonę emeryta policyjnego i byłego policjanta z Nowego Jorku – szybko wtrącił Wiesław.

– Ale emerytów – odezwał się Zyga – dlatego potrzebujecie ochrony.

– Cy panowie mówią w swoim imieniu? – zapytał Jerry. – Czy pytałiscie miejscowych zuli, cy chcom na nas napadać w lokalu?

– To sprawdzał nasz szef, Marchewka – odezwał się Mysiek – dlatego na negocjacje przysłał nas.

– A kto to jest, ten wasz sef? On nie lubi policji? Powinien sam tu pzyjść, jeśli chce z nami rozmawiać – spokojnie tłumaczył Jerry.

– My jesteśmy upoważnieni do rozmów z właścicielami lokali. Za ochronę waszego lokalu zapłacicie miesięcznie pięć tysięcy złotych i ponieważ działacie tu na tym terenie już cztery miesiące, to płacie dwadzieścia pięć tysięcy złotych. Pieniądze proszę włożyć w kopertę. My za dwa dni przyjdziemy po odbiór – wyrecytował Zyga. – Jako byli policjanci wiecie, że z nami nie ma żartów.

– O, przepraszam, ja nie byłem na tym terenie, to nie znam zwyczajów – wtrącił Jerry. – W tym czasie pracowałem w Niu Jorku, a tam było inaczej. Tam policję sanowano i tu, mam nadzieję, że też tak będzie – zakończył zupełnie spokojnie.

– No to się rozumiemy – wtrącił Mysiek – przyjdziemy za dwa dni po odbiór.

Wiesław zerwał się gwałtownie, ale Jerry objął go ramieniem, przytulił do siebie i powiedział:

– Tylko spokojnie, bez niepotrzebnych nerwów. Nie mów nawet Justy, niech się nie denerwuje – uspokajał.

Mięśniaki wyszły z pokoju, a za chwilę przyszedł pan Franciszek. Popatrzył chwilę na Wiesława, popatrzył na Jerry'ego i zapytał:

– Przepraszam, ale czegoś nie rozumiem, wiecie panowie, że poradziłbym sobie z oboma mięśniakami, ale nic nie daliście znać. W Stanach to robi się inaczej? – zapytał.

– Panie Franku, pan tylko patsy. Ja bende załatwiał po irlandzku – stwierdził Jerry.

Jerry nie chciał powiedzieć nawet Wiesławowi, w jaki sposób zaspokoił żądanie pana Marchewki. Wiesław był spokojny, wiedział, że jeśli Jerry postanowił załatwić ten temat, to na pewno temat będzie załatwiony. Nie wiedział tylko jak.

Tego popołudnia nic więcej się już nie wydarzyło, goście jak zwykle dopisali, piwo schodziło, aż trzeba było wyczerpać nowe beczki, a barman uwijając się jak w ukropie, dwukrotnie prosił o pomoc w barze, bo musiał złapać oddech. Od otwarcia pubu grano muzykę taką, jakby był to dzień świętego Patryka, irlandzkie święto. Puszczano płyty z muzyką staroirlandzką, do której tańczący klienci nie mogli dostosować swojego rytmu. Niektórzy składali reklamację na ręce kelnerki, prosząc o muzykę do tańca. Kelnerki Joasia i Marty-

na tłumaczyły, że przy tych melodiach irlandzcy tancerze potrafią wspaniale się bawić, ale klienci oponowali, mówiąc, że wprawdzie pub jest na modłę irlandzką, ale w Polsce. I takiej argumentacji trudno jest nie przyznać racji. Kelnerki zgłosiły to, a Wiesław postanowił porozmawiać z Jerrym, generalnym architektem wystroju pubu. To Jerry przynosił płyty z muzyką irlandzką i on napisał barmanowi kolejność wkładania płyt. Wiesław zdawał sobie sprawę, że Jerry przez lata nie słuchał muzyki we własnym kraju i mógł nie znać współczesnej muzyki Irlandii. Przecież obok tradycyjnej muzyki ludowej Irlandia słynie też z prężnej sceny rockowej. Stąd pochodzi U2, Sinéad O'Connor czy The Cranberries. Ale ich Jerry nie mógł zaprosić, nie miał takich pieniędzy, chyba żeby przyjęliby zaproszenie na kufel piwa i szklaneczkę whisky. To wtedy tak, gościłby ich z przyjemnością, a i nazwa pubu poszłaby w świat.

Przez długi czas zastanawiano się nad nazwą pubu. Jerry życzył sobie, żeby patronem pubu był jego ojciec Patryk, a nazwa pubu miała brzmieć „U Patryka”. Justy jako współwłaścicielka nie zamierzała toczyć boju o nazwę, bo uważała, że ważna jest treść, a nie puste nazwy, ale tu wtrącił się Wiesław i powiedział, że pub powinien nazywać się „U Justy”, bo to ona przecież patrzy na wszystko gospodarskim okiem, ona nadzoruje gotowanie, pilnuje baru i dba o zaopatrzenie. Jerry początkowo oponował, powołując się na irlandzkie zwyczaje, że nazwa winna wywodzić się z męskiego rodu, ale po przyjęciu argumentów klientów, przedstawionych przez Wiesława, wyraził zgodę na umieszczenie imienia współwłaścicielki, jeśli zaznaczy się irlandzki charakter pubu. Po wielu konsultacjach z personelem, znajomymi klientami czy młodzieżą wpadającą na dobre piwo przyjęto jako ostateczną nazwę pubu „U Justy – jak w Irlandii”. Jerry uznał, że to jest to, o co mu chodziło. Nazwa będzie ściągać jego rodaków, z którymi ma stały kontakt, i rozśławi na całą Warszawę niektóre rodzime potrawy.

Justy wiedziała, że nie samym szyldem ściąga się klientów, dlatego zatrudniając kucharkę Janinę i jej pomocnicę Jadwigę, sprawdziła ich umiejętności improwizacyjne, rzucając tylko nazwy potraw, jak hasła, do których kucharka musiała dopasować treść.

Kucharka była po szkole gastronomicznej, ale uczyć się musiała smaku, zapachu, a nawet po rozbudzeniu wyobraźni, dekoracji potraw przygotowywanych na indywidualne zamówienie. Justy była z niej zadowolona i przechodząc się po sali, podpytywała klientów, jak smakują dania. Zdania były różne i w sumie zależały od ilości wypitego piwa. Jeśli klient napoczął danie, zapijając pierwszym kuflem piwa, przyjmowała, że nie spaczył jeszcze smaku. Natomiast im więcej piw, tym smak klienta był mniej czuły. W jednym przypadku klient pomylił połędwiczkę wieprzową z pstrągiem i udowadniał, że danie, które dostał, zawiera bardzo dużo ości. A była to po prostu gałązka z natką pietruszki.

W pubie nic specjalne się nie działo, klienci się bawili przy muzyce, piwo płynęło szerokim korytem, kelnerki krążyły po sali, donosząc zamówione dania, Wiesław siedział w swoim pokoju przy notebooku, penetrując internet w poszukiwaniu potrzebnych mu wiadomości. Nie było tylko Jerry'ego, który zakręcił się z rana po swoim pokoju i wyjechał, nie opowiadając się Wiesławowi ani Justynie. Kiedy Wiesław podpytywał go, co zamierza zrobić w sprawie haraczu, Jerry uśmiechnął się i poprosił, aby Wiesław nie stresował się takimi głupstwami.

Wiesławowi nie dawała spokoju nazwa szefa tych dwóch mięśniaków. Pracując tyle lat w policji, spotykał się z różnymi ksywami, ale pierwszy raz usłyszał, że ktoś ma ksywę Marchewka. Czyżby rolnik czy działkowicz? Bo tylko oni na własne potrzeby zajmują się hodowlą grządek lub plantacji z marchewką. Nie mogąc znaleźć wytłumaczenia tego w internecie, postanowił pojechać do kolegów z komendy, których niedawno zostawił odchodząc na emeryturę, i poprosić o sprawdzenie, kto pod taką ksywą się ukrywa.

– Witamy polskiego detektywa z irlandzkiego pubu – przywitał go dyżurny – coś potrzeba?

– Szukam Krzysia – zapytał Wiesław – mam pilną sprawę do niego.

– Krzyś jest na wydarzeniu – odpowiedział dyżurny – znowu kogoś zabili, może szef wejdzie do Małgosi, tylko ona z wydziału została.